

Jerzy Edmund Bulik

Wkraczanie w życie

Wspomnienia i refleksje. Część II: 1945-1957



Jerzy Edmund Bulik

Wkraczanie w życie

Wspomnienia i refleksje. Część II: 1945 - 1957

Wydawnictwo J & G INC.

Opracowanie redakcyjne
Grażyna Majerska - Bulik

Korekta
Anna Bulik

Projekt okładki
Mike Chudiak

Fotografie na okładce
Mike Chudiak

Copyright by Jerzy Edmund Bulik

Wydawnictwo "J & G INC."
254 Holbeach Court.
Waterloo, Ontario N2J 4Y7, Kanada
Tel./Fax: (519) 7471402; E-mail: bulik@bulik.net
www.gj.bulik.net

Rok: 2013,
ISBN 978-0-9688509-4-7

*Grażynie, ukochanej żonie i najlepszemu
przyjacielowi mojego życia pisanie to dedykuję.*

SPIS TREŚCI

WSTĘP	12
SZKOŁA	20
STUDIA	114
WOJSKO	219
PRZYGODA	279
PRACA	398

WSTĘP

Jest to drugi tom moich wspomnień. Pierwszy, noszący tytuł „Kolejką Marecką do...?” ukazał się w roku 2000. Ująłem w nim okres od roku 1930-ego, tj. od mojego urodzenia do początku roku 1945-ego, kiedy objęła mnie spychająca Niemców na zachód i wyzwalająca Polskę spod okupacji niemieckiej nawała armii radzieckiej i polskiej.

Niniejszy tom jest kontynuacją poprzedniego i kończy się w roku 1957-ym, kiedy jako członek wyprawy geofizycznej Polskiej Akademii Nauk wyjechałem na rok do Wietnamu. Zawarty tu okres: 1945 – 1957, to ważny okres mojego życia – od ucznia pierwszych klas szkoły średniej, przez studenta, do kierownika tematu w instytucie badawczo - rozwojowym. Jest to jednocześnie bardzo szczególny okres historii Polski. Od odrodzenia się państwa polskiego w wyniku zwycięstwa nad Niemcami – z gruzów w sensie dosłownym i przenośnym, poprzez noc zaślepionego, szalejącego stalinowskiego terroru, do zmian nazwanych „odwilżą”, zapoczątkowanych przełomowym XX-ym Zjazdem radzieckich komunistów.

Nawiązaniem do charakteru polskiej rzeczywistości tego okresu jest koncepcja kolorystyczna okładki. Polska była wtedy komunistyczna - czerwona i symbolizuje to czerwień okładki. Rzeczywistość polska była wtedy szara i stąd szary kolor na okładce.

Skoro mowa o okładce, to należy się również parę słów tytułowi. Przyznaję, że trudno było mi się zdecydować na tytuł. Uważam, że tytuł książki jest bardzo ważnym jej elementem. To trochę tak jak imię człowieka. Nadaje osobie pewien charakter i związane jest z nim nawet po śmierci. Tytuł książki, a zwłaszcza książki wspomnieniowej, powinien mieć związek z treścią książki i powinien jednocześnie reprezentować sobą spojrzenie autora na książkę i powinien być jakimś sygnałem autora skierowanym do Czytelników. W moim odczuciu tytuł charak-

teryzuje nie tylko książkę lecz również autora. Tytuł, na który ostatecznie zdecydowałem się (zresztą dosłownie w ostatniej fazie pracy i to nawet nie nad pisaniem lecz nad przygotowaniem książki do wydania) „Wkraczanie w życie” ma w mojej intencji wyjaśniać, że przedstawiam w tej książce ten okres mojego życia, w którym przechodziłem drogę od nastolatka do tzw. człowieka dojrzałego. Okres, w którym jako uczeń i student zdobywałem formalną wiedzę i w którym jednocześnie uczyłem się życia

Relacja zawarta na kartach tej książki pokazuje moje własne życie, życie przeciętnego chłopaka, młodego „szarego człowieka” w rzeczywistości Polski Ludowej. Adresowana jest zarówno do tych, którzy sami przeżyli ten okres jak i do tych, którzy znają go tylko jako dość odległy okres najnowszej historii Polski. Z tymi pierwszymi chciałbym podzielić moją własną historią z tego okresu Polski Ludowej. Ci, którzy mają swoje własne doświadczenia będą mogli wrócić pamięcią do tamtych czasów, porównać ich własne przeżycia i oceny z moimi i być może wyciągnąć jakieś bardziej ogólne wnioski dla siebie i dla innych. Tym drugim, dla których ten okres czasu znany jest tylko z opracowań historycznych, z natury rzeczy ogólnych i prezentujących obraz „makro” chciałbym przekazać niniejszą relację jako spojrzenie na tamten okres z poziomu jednostki, jako obraz tamtego czasu w wymiarze bardziej ludzkim niż ogólny i syntetyzujący - jako obraz w skali pojedynczego, zwykłego człowieka. Oczywiście ta druga grupa Czytelników rozciąga się w bliżej nieokreślonej przyszłość. Jeśli książka ta przeżyje 50 czy może nawet 100 lat i jeśli ktoś ją wtedy przeczyta, to odbierze taki właśnie obraz: „fotografia” czasu wykonana przez „obiektyw” percepcji zwykłego człowieka.

Pierwszy tom został bardzo pozytywnie przyjęty przez Czytelników, co oczywiście sprawiło mi wielką satysfakcję, ale jednocześnie wywołało we mnie pewnego rodzaju treść przy pisaniu tomu drugiego. Czy będę w stanie utrzymać podobny poziom w tomie drugim? Czy nie zawiodę, czy nie rozczaruję Czytelników, zwłaszcza, że szereg osób,

które przeczytały tom pierwszy wyrażało żywe zainteresowanie tomem drugim w czasie kiedy go pisałem.

Jakoś przezwyciężyłem te tremę, a pomogły mi w tym dwie następujące okoliczności. Pierwsza. Nie jest moją intencją przedstawiać się innym, a w szczególności lepszym, zdolniejszym, bardziej utalentowanym niż jestem. Jestem taki jaki jestem. Tak jak każdy mam swoje słabości. Tak jak każdy mam swoje sukcesy i swoje przegrane. I jeśli jedną z tych nieudanych spraw będzie drugi tom moich wspomnień to trudno – będę żył z tym tak jak żyję z innymi przedsięwzięciami, które mi nie wyszły.

Druga. Muszę się przyznać, że pisanie tych wspomnień jest moją jakąś wewnętrzną potrzebą i sprawia mi radość. Jakoś tak to czuję, że chcę się podzielić z innymi moimi przeżyciami i refleksjami. Element osiągnięcia w tym działaniu powodzenia nie jest celem samym w sobie. Celem jest sformułować i utrwalić, a to pisanie jest po prostu takie na jakie mnie stać; jeśli czytelnicy uznają je za słabe i nieudane – to trudno, będę musiał to zaakceptować.

Tak więc pogodzony wewnętrznie ze sobą po sukcesie tomu pierwszego przystąpiłem do pisania tomu drugiego po krótkiej przerwie od momentu zakończenia pracy nad tomem pierwszym. Pisałem w ten sam sposób jak tom pierwszy: rano, krótkimi, półgodzinnymi – trzykwadranowymi porcjami, po spacerze z naszą psicą Mają, na który wyruszamy o pół do siódmej, a przed pójściem na College, co ma miejsce zwykle (zależnie od rozkładu zajęć) koło dziewiątej. Pisząc te słowa uświadomiłem sobie, że to jest już tak od ponad sześciu lat, że zaczynam dzień od pisania. Ten układ moich pierwszych godzin dnia i ten system pisania tak już „wszedł” we mnie, że źle się czuje kiedy zachodzą jakieś okoliczności zmuszające mnie do odstąpienia od tej rutyny.

Stwierdziłem jednocześnie, że ten system pisania małymi porcjami jakoś bardzo odpowiada mi wewnętrznie. Gdy siadam rano do komputera jestem nie tylko świeży, ale spragniony tego pisania, przystępuję do pisania z chęcią i entuzjazmem. Myślę, że gdybym mógł („miał”) pisać

przez wiele godzin dziennie w jednym „kawałku” nie miałbym w sobie takiej świeżości i zapału, jakie są we mnie gdy produkuję nieduże kwanty tekstu. To „nieduże” znaczy w tym przypadku koło jednej trzeciej strony (przeciętnie).

Ten system pisania zawiera jeszcze jeden, pomocny dla mnie czynnik. Otóż wydaje mi się, że w okresach pomiędzy sesjami moja podświadomość, czy może głębsze rejony mojej pamięci pracują nad tym o czym chcę pisać i kiedy siadam mam w sobie często coś w rodzaju wstępnie przygotowanej porcji do przelania na papier, a mówiąc dokładniej na ekran komputera.

Nie mogę tu się oprzeć wyznaniu, że kontakt moich palców z klawiaturą w trakcie pisania sprawia mi fizyczną przyjemność. Czuję się tak jak gdyby moje biegające na pozór bez planu, bez porządku palce, skaczące to tu to tam, wykonujące jakieś zwroty, pętle, czasami przemieszczające się szybciej czasami wolniej – to byli jacyś tancerze wykonujący jakiś pełen ukrytych treści i symboli taniec. A muzyka, którą tańczą to jest treść tego co piszę. Nie gram na fortepianie (nawiasem mówiąc nie gram na żadnym instrumencie) ale wydaje mi się, że podobne odczucie może mieć pianista wykonujący jakiś utwór muzyczny.

Bywa, że czas którym dysponuję danego ranka zaczyna się kończyć, a ja jeszcze nie przelałem na klawisze drzemiącej we mnie porcji pisania. Wtedy zaczynam pisać bardzo szybko, nie zwracam uwagi na błędy typograficzne, nie wyrażam moich myśli w formie regularnych zdań, powstaje tekst nieuporządkowany, chaotyczny, jakby zaszyfrowany, a ja nie zwracam na to uwagi, staram się pisać szybciej i szybciej, aby jak najprędzej „wyrzucić” z siebie to co we mnie dojrzało. Moje palce wykonują wtedy na klawiaturze jakiś upojny, szalony taniec. A ja stukam i stukam w klawisze, aby nie uronić nic z tego co się we mnie tego ranka objawiło, aby przelać do komputera wszystko najważniejsze co niejako sam w sobie tego ranka odkryłem. I kiedy kończę ten swego rodzaju wyścig z czasem jestem zadowolony z siebie i z wewnętrznym spokojem przystępuję do moich „normalnych” obowiązków.

Wynikiem naszkicowanego powyżej procesu jest tekst, który zapełnia dalsze strony tej książki. Zachowana jest w nim zgrubnie chronologia, jeśli chodzi o główne rozdziały, ale nie jest to szczegółowa kronikarska relacja w rodzaju: „wtedy i wtedy wydarzyło się w moim życiu to, a następnie, wtedy i wtedy tamto i owo”. Nie, to co przedstawiam to są jakby samodzielne, niezależne obrazki – relacje. Mogą one być czytane wyrywkowo i w zupełnie dowolnej kolejności. Czytelnicy, którzy są zainteresowani jakimś wybranym fragmentem tych wspomnień mogą przeczytać wybrany rozdział, czy nawet zawarte w tym rozdziale opowiadanie bez żadnej obawy, że coś będzie dla nich niejasne lub, że w tym obrazie będzie brakowało jakiegoś szczegółu, lub że coś stracą. W związku z tym, że przedstawiane relacje przystosowane są do samodzielnego bytu niektóre informacje i wyjaśnienia powtarzają się w paru miejscach książki. Nie jest to błąd czy przeoczenie. Zostały one powtórzone tam celowo dla zachowania jasności i kompletności relacji.

Zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że nie wszystko co przedstawiam na kartach tej książki będzie jednakowo interesujące dla wszystkich Czytelników. Dla przykładu: wspomnienia o moich nauczycielach, asystentach i profesorach mogą być ciekawe dla nich samych i dla tych, którzy z nimi zetknęli się, a dla wszystkich innych – mogą być interesujące jedynie w warstwie ogólnej, w której snują rozważania, które wynikają albo z ich osobowości albo z ich postępowania. Jednak podobnie ma się sprawa również z innymi fragmentami książki. Jedni Czytelnicy znajdują więcej dla siebie np. w rozdziale „Studia”, a inni np. w rozdziale „Przygoda”. Jest to nieuniknione. Pozostaje mi tylko liczyć na tolerancję i wyrozumiałość Czytelników, dla których pewne fragmenty książki okażą się czytelniczo mniej atrakcyjne.

Podobnie jak w pierwszym tomie moich wspomnień wszystkie nazwiska, które wymieniam są prawdziwe (może jedynie w niektórych przypadkach trochę przekręcone, jeśli akurat zawiodła mnie moja pamięć). Uważam, że jest to jedyne możliwe podejście do sprawy. Relacja zawarta na kartach tej książki jest w moim zamierzeniu relacją prawdziwą. Prawdziwe są miejsca, pory roku, sytuacje, prawdziwe są moje zachowania i moje myśli i prawdziwi też są ludzie, których wspominam.

O niektórych wymienianych tu ludziach wyrażam się pozytywnie, o niektórych piszę krytycznie. Jednak tak jak nie jest moją intencją sprawić przyjemność tym pierwszym tak też nie jest moją intencją sprawić przykrość tym drugim. Tak jak nieswojo bym się czuł gdyby ci pierwsi poczuli się w stosunku do mnie do wdzięczności, tak również źle bym się czuł gdyby Ci drudzy żywili do mnie urazę z tego tytułu co napisałem. Gdy piszę tu coś o ludziach, przedstawiam ich tak jak ich widzę, jak ich odbieram i jest to oczywiście moje subiektywne spojrzenie i jako takie może być chybione. Jest to jednak to co prawdziwie myślę i czuję. Jestem na tych kartkach szczery, uważam że gdyby było inaczej całe to pisanie nie miało by sensu.

Wziąwszy pod uwagę, że niniejszy tom ukazuje się około trzy i pół roku po wydaniu tomu pierwszego może wydawać się bardzo dziwne, że pisanie tego tomu było dla mnie swego rodzaju wyścigiem z czasem. Rzecz w tym, że wracając pisaniem do okresu 1945-1957 cieszyłem się, że po wydaniu tych wspomnień będę mógł o opisywanych tu sprawach, wydarzeniach i ludziach mówić - przede wszystkim z tymi, których na tych kartach wymieniam. Niestety czas ma swoje nieubłagane prawa i płynąc zabiera nas na drugą stronę życia, tak jak mitologiczny Charon przewoził Greków na drugi brzeg Styksu.

I tak w czasie pisania tej książki odeszli bezpowrotnie wymienieni na jej kartach: Andrzej Chachulski, Michał Gryziński, Maciek Jakubowski i Sławek Wiszniewski (kolejność alfabetyczna). Odeszło również kilku kolegów ze studiów, którzy nie występują w książce z imienia. Bardzo żałuję, że nie będę mógł porozmawiać z tymi pierwszymi o tym co o nich napisałem, a z jednymi i z drugimi na temat ich widzenia i ich oceny czasu i wydarzeń, które wspólnie przeżyliśmy.

Pisząc te wspomnienia nie miałem do dyspozycji żadnych notatek, zapisków, niczego w rodzaju jakiegoś dziennika czy pamiętnika. Zresztą gdybym nawet coś takiego posiadał, to pewnie by to uległo zagubieniu, jak cały szereg moich rzeczy w wyniku wieloletniej nieobecności w moim mieszkaniu w Warszawie, a następnie likwidacji tego mieszkania i „przenosin” cenniejszych i ważniejszych rzeczy do naszej dachy

w Zalesiu oraz kolejnych „przenosin” do naszego domu w Kanadzie. W rezultacie, pisząc tę książkę, korzystałem wyłącznie ze swojej pamięci.

Miało to jeden pozytywny efekt. Pamięć stanowi rodzaj naturalnego sita. To co było dla nas ważniejsze, to co głębiej odczuliśmy, to co mocniej przeżyliśmy – zostaje, a to co mniej – ulatuje. Jest to mechanizm naturalnej selekcji. Tak więc uważam, że to co pozostało w mojej pamięci to jest jednocześnie to co warte było przekazania, co warte było podzielenia się z innymi i stąd kwalifikowało się do znalezienia się w tej książce.

Jednak nie zawsze obraz, który zachowałem w mojej pamięci zawierał wszystkie szczegóły. W takich przypadkach zwracałem się do moich przyjaciół i kolegów z prośbą, aby wspomogli mnie swoją pamięcią. Zawsze spotykałem się z pozytywnym odzewem i wszyscy, do których się zwracałem służyli mi informacjami, oczywiście na tyle na ile sami byli w stanie odtworzyć sprawy i wydarzenia, o które pytałem. Chciałbym teraz, na tym miejscu, wszystkim tym osobom bardzo gorąco podziękować za okazaną mi pomoc. Chciałbym jednocześnie prosić o wybaczenie, że nie wymieniam tu ich nazwisk – robię to dlatego, że obawiam się, aby jakiegoś nazwiska nie pominąć. Czułbym się bardzo źle gdyby na tej liście zabrakło kogoś, kto powinien się na niej znaleźć.

Oczywiście nie mam absolutnej pewności, że to co zostało w mojej pamięci jest stuprocentowo dokładne. Mogło się zdarzyć, że to co znajduje się w rejestrze mojej pamięci zawiera błędy czy deformacje, o których ja nie wiem, których istnienia nie podejrzewam, nie mając żadnych wątpliwości dotyczących danej sprawy. W związku z tym mam następującą prośbę do moich Czytelników: jeśli stwierdzicie, że gdzieś moja pamięć mnie zawiodła, że jest gdzieś w mojej relacji jakiś błąd – bardzo proszę o sygnał na jeden z adresów naszego wydawnictwa podanych na odwrocie strony tytułowej. Oczywiście to samo dotyczy błędów innego rodzaju, jak np. błędów typograficznych. Ja ze swojej strony zobowiązuje się do tego, że postaram się, aby te korekty stały się w jakiś sposób dostępne dla Czytelników, z pewnością przez umiesz-

czenie ich na mojej stronie internetowej (www.gj.bulik.net), a również w formie drukowanego dodatku do książki.

Książka ta nie zostałaaby wydana gdyby nie wielka pomoc mojej najbliższej rodziny. Moja córka, Anka, i zięć, Mike, z podziwu godnym oddaniem i zaangażowaniem pracowali nad przygotowaniem jej do druku. Anka pracowicie, cierpliwie i dokładnie przebijała się przez tekst dzieląc się ze mną uwagami krytycznymi pierwszego czytelnika i wyłapując skrupulatnie wszelkie błędy i omyłki wymagające skorygowania. Mike niezmordowanie opracowywał kolejne wersje okładki. Im obojgu serdecznie za to dziękuję.

Do czasu wydania pierwszego tomu moich wspomnień nie zdawałem sobie sprawy z tego ile pracy wymaga obróbka tekstu do postaci, w której będzie nadawał się do wydania w postaci książki, czyli tzw. edytowanie. Ta rzeczywiście ogromna praca, na którą składa się niezliczona wprost ilość godzin formowania tekstu, uzgadniania z autorem masy szczegółów, powtórnego wracania do tego samego tekstu itd. wykonana została, podobnie jak w przypadku pierwszego tomu, przez moją żonę, Grażynę. Żadną miarą nie jest możliwe przecenienie Jej wkładu pracy: długie godziny składające się na dni i dni mrówczej pracy nad tekstem. Pracy, którą wykonywała z wielką cierpliwością, z wielkim zaangażowaniem i oddaniem i z wielkim wyrozumieniem dla autora. Nie umiem znaleźć słów, które mogłyby wyrazić moją wdzięczność. Jedno co chciałbym tu mocno podkreślić to, że zdaję sobie sprawę z tego, iż bez Ciebie, Moja Kochana, ta książka nigdy by się nie ukazała – pozostałaby w formie „komputeropisu”. I za to - wielkie, trudne do pełnego wyrażenia, głębokie dzięki.

Waterloo, Ontario, Kanada, dnia 12-ego października, 2004-ego roku.

Z powrotem w Polsce, Ludowej

W lutym czterdziestego piątego nasza popowstaniowa tułaczka zakończyła się. Wróciliśmy do Warszawy. Rozstaliśmy się z gościnną rodziną państwa Olejników, u których mieszkaliśmy w Piotrkowie Trybunalskim obiecując, że będziemy kontynuować zrodzony przez wojnę kontakt między naszymi rodzinami. Nasi gospodarze byli życzliwie zainteresowani tym jak ułoży się nasze dalsze życie. Ja, żegnałem się z podobnym nastawieniem z córką gospodarzy, moją prawie – rówieśniczką, Zenią. Niestety, nasze obietnice nie zostały zrealizowane i to ja jestem za to odpowiedzialny jako, że w naszej rodzinie pisanie listów to był mój resort (listy zaś, to był jedyny w owych czasach środek kontaktowania się na odległość).

Od młodych lat aż do chwili obecnej, niezmiennie przejawiałem i praktykowałem skłonność do odkładania spraw „na później”. Czasami to przesuwanie na potem miało (i ma) nawet szlachetne intencje, a mianowicie, aby kiedyś tj. później zrobić to lepiej niż mógłbym zrobić to teraz, a czasami u podłoża opóźniania leży po prostu niechęć do tego, aby daną sprawą się zająć. Stosunkowo szybko zrozumiałem, że w olbrzymiej większości przypadków to co jest odkładane „na potem”, albo „jak będę miał czas”, albo „jak będą lepsze ku temu warunki” nigdy nie doczeka się realizacji. Zrozumiałem i próbowałem nie poddawać się tej chęci odkładania, no i oczywiście, jak to w życiu bywa, czasami mi się to udawało i udaje, a czasami nie – i tak jest aż do teraz.

To czego nie zrobiłem ja, po długim czasie, w latach osiemdziesiątych zrobiła Zenia. Poszukała w warszawskiej księżce telefonicznej nazwiska „Bulik”, a gdy znalazła wśród Bulików Jerzego napisała list (sama mieszkała w tym czasie w Gdańsku) i od tamtego momentu mamy ze sobą kontakt, co prawda nie bezpośredni, jako że ona osiadła w Anglii, a ja w Kanadzie, ale oboje jesteśmy optymistami i mamy nadzieję na bezpośrednie spotkanie.

Drogę do Warszawy z Piotrkowa Trybunalskiego mieliśmy już “przetartą”, jako że wcześniej, kiedy front przesunął się dalej na zachód i kolej wznowiła działalność ojciec odbył najpierw taką podróż sam, aby rozpoznać co czeka nas po powrocie i jak będziemy mogli się urządzić. Relacja ojca przygotowała nas częściowo do tego co mieliśmy zobaczyć w Warszawie, ale co innego usłyszeć, a co innego zobaczyć samemu.

Chłonałem wręcz łączywie wszystko co mi się nasuwało przed oczy w samej Warszawie i na trasie do Marek. Ostatnim razem widziałem przecież Warszawę przed pół rokiem i to w jakże odmiennych warunkach. Wychodziłem z niej po upadku Powstania, pod okiem niemieckich żołnierzy, w maszerującej kolumnie opuszczających miasto jej mieszkańców. Teraz, gdy byłem tu z powrotem intensywnie wyławiałem wszystko co było mi znajome (jakiż rezonans wywołują w nas miejsca, w których coś przeżyliśmy...) i chłonałem wszystko co było nowe.

Właściwie całe miasto było i stare i nowe. Stary i znajomy był układ ulic ze swoimi nazwami (szereg z nich miało się wkrótce zmienić), nowe było to, że większość z tych ulic to były wąwozy spalonych i zburzonych domów. Nie wyglądały one tak gdy Powstanie upadło – był to rezultat planowego niszczenia miasta przez Niemców po ewakuowaniu z miasta całej ludności. Na nielicznych niezniszczonych domach rzucały się w oczy malowane cyrylicą napisy “Min niet”. Na głównych szlakach komunikacyjnych miasta – intensywny ruch radzieckich pojazdów wojskowych, a na głównych skrzyżowaniach “regulirowszczyki” – żołnierze, głównie kobiety, dyrygujące ruchem pojazdów, za pomocą trzymany w obydwu rękach czerwonych chorągiewek. W tej scenerii – skutego zimą miasta ruin i gruzów, w którym przeszłość i terażniejszość mówiły o wojnie krzątały się mrówki ludzkie, a to maszerujące w różnych kierunkach (nogi były jedynym środkiem lokomocji), a to wykonujące jakieś podstawowe remonty w mieszkaniach mniej lub więcej zniszczonych domów, a to handlujące na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

Ten mój pierwszy po półrocznej przerwie i pierwszy w nowej Polsce kontakt z Warszawą przeżywałem jako odkrywanie czegoś nowego,